Nr. 16. We Lwowie dnia 21. kwietnia 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Edward Strumpf

(wspomnienie pośmiertne).

Zmarły drugiego dnia świąt wielkanocnych (8. kwietnia b. r.), Edward Strumpf, należał do najmłodszego pokolenia przyrodników.

Była to piękna dusza — marzycielska, poetyczna... Cechował ją przytem charakter dzielny, szlachetny...

Rozmiłowany w przyrodzie, jej entuzjastyczny wielbiciel, zawsze pełen zapału i energji — pomimo słabego zdrowia — oddawał się z zamiłowaniem naukowym badaniom przyrodniczym. To też pomimo młodego wieku — umarł bowiem mając zaledwie lat 28 — uważano go za poważnego uczonego, wybitnego botanika.

Urodził się ś. p. E. Strumpf w Siedlcach, w r. 1873. Po ukończeniu w rodzinnem mieście gimnazjum, wstąpił w roku 1891 na wydział przyrodniczy uniwersytetu warszawskiego. Za udział w obchodzie, urządzonym przez studentów na pamiątkę Kilińskiego (d. 17. kwietnia) w r. 1894, został uwięziony i czas jakiś trzymany w głośnem więzieniu warszawskiem, w t. zw. Pawiaku. Następnie zesłano go na Kaukaz, gdzie bawił w latach 1894 i 1895. Po powrocie z Kaukazu rozpoczął na nowo studja na wydziale przyrodniczym w Dorpacie, gdzie po obronie rozprawy O budowie anatomicznej roślinności górskiej na Kaukazie (drukowana w „Pracach petersburskiego Towarzystwa badaczów przyrody“, tom XXIX.) otrzymał w roku 1899 stopień kandydata nauk przyrodniczych.

Jesienią tegoż roku wyjechał za granicę do Bonn nad Renem. Tu pod kierownictwem b. profesora szkoły głównej warszawskiej, Edwarda Strasburgera, pracował w dalszym ciągu nad botaniką. Rezultatem tych studjów była praca, dotycząca drobnowidzowej budowy tkanek sosny, wydana pod tyt. Z histologji sosny nakładem Akademji umiejętności w Krakowie, w r. 1899). W niej Strumpf wykazał, iż komórki przyrurkowe służą do przechowywania białka przez zimę, odgrywając tym sposobem rolę magazynów względem rurek sitkowych, rozprowadzających soki odżywcze, z chwilą wiosennego pobudzenia żywotności.

Po powrocie z zagranicy do Warszawy, prowadził w dalszym ciągu badania histologiczne w pracowni botanicznej uniwersytetu warszawskiego, zasilając jednocześnie łamy tygodników i czasopism pięknymi szkicami i artykułami, popularyzującymi wyniki badań przyrodniczych. Wymienimy tu o Liściach spadających i O kwiatach (ostatni w numerze wielkanocnym „Reformy“ z b. r.)

Od roku 1892 był on czynnym współredaktorem „Wszechświata“ w dziale botanicznym, oraz współpracownikiem przyrodniczym „Prawdy“ (piękny artykuł p. t. Stulecie komórki; z r. 1900) i „Głosu“ — wreszcie „Wielkiej encyklopedji illustrowanej“ w dziale botanicznym. Częste miewał też pogadanki w „Towarzystwie ogrodniczem“ i na wycieczkach botanicznych. Ogłosił również drukiem popularny zarys ogólnej morfologji roślin p. t.: Z jakich części składa się roślina i do czego są jej te części potrzebne? (Warszawa, 1900) oraz przekład pracy Eugenjusza Warminga p. t.: Zbiorowiska roślinne (wyd. z zapomogi kasy im. Mianowskiego, Warszawa, 1900).

Jest on też autorem bardzo pięknej pracy, wydanej w „Bibliotece dzieł wyborowych“ p. t.: Obrazy Kaukazu (Warszawa, 1900, z ilustracjami) stanowczo jednej z piękniejszych w naszej literaturze podróżopisarskiej. W niej autor nie tylko sumiennie, treściwie i jasno opisuje to co widział, czego tu i ówdzie doświadczał, o czem się zdołał dowiedzieć podczas swoich wycieczek, lecz opisuje to wszystko w sposób artystyczny, przemawia do czytelnika, malując przed jego oczami plastycznie obrazy wyglądu kraju, kreśląc dobitnie typy etnograficzne Gruzinów, Ormian, Tatarów... Jest on i ścisłym badaczem i zarazem poetą, marzycielem... Czytając te „luźne notatki i wrażenia“ ś. p. Edwarda Strumpfa, doznaje się takiego uczucia, jak gdyby się było na łonie tamtejszej natury, wśród gór niebotycznych Kaukazu, lub spalonych stepów Apszerońskiego półwyspu i bezpośrednio obcowało z mieszkańcami tego kraju...

Opisując w pięknych barwach kraj, w którym „przymusowo“ dość czasu spędził, by go poznać, myślą często ulatywał „na północ, hen nad brzegi Wisły spokojnej“...

...„Statek zwalnia bieg... Stanęliśmy. Zarzucono liny na brzeg i przywiązano nas do lądu, do ziemi kaukaskiej — na długo!“...

Przed oczami wznoszą się góry pokryte lasami, za niemi wyższe w śniegu spowite... U stóp — spokojne morze... Wszystko: i góry, i lasy, i ziemia, i morze — gra dziwnemi blaskami od słońca, a tęsknotą trawiony za krajem rodzinnym, Strumpf „chce wołać za poetą“:

„Choć Ty mi niebo tak złocisz i morze,
„Smutno mi Boże“...

. . . .

...„Żegnałem okolicę.

„Gdym miał z przełęczy zjeżdżać w dół ku Szuławerom, spojrzałem po raz ostatni na dolinę Borczalińską.

„Zmrok już zapadł; nad szczytem Lalwaru unosił się wschodni sierp księżyca, rzucając blask słaby na ciężkie chmury, które się kłębiły ze wszystkich stron horyzontu; dolina tonęła w gęstym tumanie, niby na dnie jeziora o mleczno-srebrzystej powierzchni.

„Żadne stamtąd nie dolatywały dźwięki...

„Nazajutrz był dzień zimny, dżdżysty, ponury i smutny. Dopiero wieczorem, zziębnięty i zmoczony, stanąłem w Tyflisie, gdzie mroźny wicher górski hulał po wąskich ulicach.

„Złożywszy rzeczy w izbie hotelowej, pobiegłem wnet szukać ludzi i... gazet, których tyle czasu nie widziałem; w „Kurjerze“ odczytywałem wszystkie ogłoszenia warszawskie, nazwy ulic, numery domów i zdawało mi się, że chodzę po tych ulicach, i odszukuję domy te, według wskazanych adresów...

„Istotnie — byłem wówczas w Warszawie“...

. . . .

...„Stałem na pokładzie parowca, który miał za kilkanaście minut wyruszyć z portu bakińskiego. Dzień był skwarny, prawdziwie piękny. Błękit kopuły niebieskiej był niezmącony nawet chmurką najmniejszą. Zatoka grała blaskami na pomarszczonej powierzchni, którą rozhuśtały wichry kilku dni poprzednich. Z morza ciągnął lekki wiaterek, kładąc rumieniec świeżości na twarze obecnych.

„Za kilkanaście minut porzucam ziemię kaukaską.

„Więc żegnajcie minarety strzeliste, wynurzające się z potoku szarej kaskady domostw, spadającej ku morzu; żegnaj, ziemio, gdziem chwile ciężkie przebył; żegnajcie, ludzie gościnni i szlachetni; żegnaj ty, świecie maurytański — tajemniczy, pociągający, szeroki...

„Na ląd wysiadam w Petrowsku, skąd wciąż już się jedzie kolejami żelaznemi. Na wagonach odnajduję cyfry dalekich dróg zachodnich i odczytuję nazwy miast znanych.

„Jedziemy długo, długo — ale najdłuższe są przystanki na stacjach: wieki całe trwają...

„Z radością witam nareszcie pierwsze zastępy bohaterskie lasów sosnowych i wyglądające wśród pni czerwonych strzechy słomiane.

„Złote są słowa wieszcza:

„Litwo! Piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
„Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
„I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
„Niż rubinowe morwy, złote ananasy“...

. . . .

Wielką tęsknotą do kraju rodzinnego przesiąknięte są te śliczne „kartki z podróży“. Wrażliwa ta piękna dusza niedługo kołatała — wśród walki z losem — w słabem ciele... Choroba piersiowa zbliżała go coraz bardziej do grobu. W czerwcu roku zeszłego gruźlica przybrała stan ostry. Kilkomiesięczny pobyt na Południu i w Zakopanem nie przyniósł ulgi — zgasł w rodzinnem swem mieście, pozostawiając po sobie ślad jasny na ziemi i żal, że takie dusze białe opuszczają nas tak wcześnie...

Henr. Ułaszyn.

O KRZYŻAKACH.

Przez

12) **Marję Konopnicką.**

IV.

Ale przeciw temu budowaniu życia i przeciw tym budownikom przyszłości, stawiała się moc, burząca i życie to, i wszelką jego budowę: stawiała się — potęga Zakonu.

Potęgę tę maluje Sienkiewicz w krótkich, dosadnych słowach, które są więcej, niżli historją Zakonu: Są aktem oskarżenia przeciwko samej zasadzie, na której ta historja urosła i stała: zasadzie krzywdy i fałszu.

Osiadłszy „w szczupłej okolicy, podarowanej mu przez niebacznego księcia polskiego, nie miał zrazu Zakon ani piędzi ziemi po za nią“. Teraz zaś „włada obszerną, — większą od wielu kró-

lestw — krainą, pełną ziem żyznych, potężnych miast, i niezdobytych zamków“.

A włada nią tak, „jak pająk włada rozpiętą siecią, której wszystkie nici trzyma pod sobą. Włada podstępem — przeciw silnym, kłamstwem — przeciw prostym, przemocą — przeciw słabym. Siedzi na cudzem, z cudzego wyciska pot i krew, i cudzem — rośnie“.

Już „starł z oblicza ziemi lud“, który w onej krainie, przed nim, synem tej ziemi siedział. Już wzniósł Marienburg, kamienne, „zbrojne gniazdo, od którego biła moc niezwyciężona, sroga“. Już usypał z wymożonych gwałtem i chytrością danin, okupów „wieżę złota“ w pysznej swojej twierdzy. Już poczuł, że „ani w sztuce rządzenia, ani w sztuce wojowania, nie ma w Europie przed sobą nikogo“.

Wojuje zaś bronią różną, własną i zaciężną, ziemską i nieziemską, „mając na zawołanie swoje nietylko żelazo i złoto, ale także — moce duchowne“. Tak się wzbił, tak wyniósł się wysoko w pychę, ten parwenjusz dziejów, że wszelka własna nieprawość — prawem mu się stała. Prawem, które popierał i mieczem i krzyżem, które popierać musiał, gdyż innego — nie miał.

I tu się zaczynała tej potęgi słabość. Tu była owa „szpara“, którą w potędze tej dostrzegło bystre oko Zyndrama z Maszkowic.

Władał Zakon, to prawda, „obszerną, bogatą krainą“, ale nie władał sercami. Owszem, musiał nią władać „jak pająk“. Jak pająk musiał trzymać pod sobą wszystkie nici swojej rozpiętej nad ludami sieci; wszystkie nici, z których każda dusiła — życie.

Niezmiernie żywy i głęboko pomyślany obraz tego władania rozwija Sienkiewicz w chwili, kiedy Jurand jedzie po szczycieńskiej drodze, przez ziemie, pod prawem krzyżackiem jęczące. Prowadzi go zrazu chłop mazur, krzyżacki poddany. Chłop biegnie przy koniu rycerza, a co raz, o z za pazuchy dobywa garść żyta, i je — głodny. „Bo mlewo podatkami obłożone, ubogi człowiek musi z plewą ziarno gryść jak bydlę. Znajdą żarna w chałupie, to chłopa stratują, dobytek zagarną, babom i dzieciom nie przepuszczą“...

I wzdycha:

— „Aj, ciężko pod Niemcami!“

Ale jeżeli jest ciężko, — a musi być ciężko, kiedy chłopu, do różnych ciężkości wzwyczajonemu, jęk się ten wyrywa, — to jest przecież rzeczą wprost nieuniknioną, iż ten i ów ciężaru nie wytrzyma i zrzuci go z siebie. Jakoż spotyka Jurandów dalej czterech łuczników, wiodących na łańcuchu chłopa. Ręce z tyłu związane, na nogach kajdany. Oczywiście, spróbował nieborak ulżyć sobie „w ciężkości“ i teraz na sąd idzie. Może nie chciał „ziarna z plewą, jak bydlę gryźć“, może miał żarna w chałupie, może nie było z czego ściągnąć opłaty za mlewo... Może. Ale, gdy silny poto prawo stanowi, aby mu służyło, a słabego gniotło, rzecz prosta, iż każde usiłowanie ominięcia prawa tego poczytanem będzie przez prawodawcę, który sam oraz jest i sędzią sprawy, — za śmiertelną winę. Jakoż, nie dojechał jeszcze Jurand zamku, kiedy obok drogi, do bramy jego wiodącej, spostrzega szubienicę, na której się kołyszą cztery chłopskie trupy.

A tak, mamy tu pełny w sobie i zamknięty cykl prawnego bezprawia: nieludzki nakaz, nieuchronne od niego przestępstwo, sąd, który jest wywarciem siły na słabszym, i kara, — równie jak nakaz nieludzka, która dech trupi, dech rozkładu, w gniazdo nieprawości wnosi.

Może nie było tak wszędzie. Może tak było po dalszych komturjach tylko, gdzie samowola, pycha i chciwość rosły bez żadnego hamulca, aż do granic bezmyślnej srogości. Może na tej szczycieńskiej drodze, było tak właśnie, jak mniema Montalambert, gdy mówi: — „Jest coś straszniejszego dla ludów podbitych — od samego kata: to jego — podkacik“. (C. d. n.)

3) WŁADYSŁAW ST. REYMONT

Pewnego dnia...

Tygodnie poznawał po niedzielach, bo odwiedzał wtedy swojego kapitana. No i wiedział, że jeśli w suszarni, na czwartem piętrze, rano świeci słońce, to już napewno wiosna, a jak w apreturze — to lato jest z pewnością. Zimę poznawał po śniegu, no i potem, że w postrzegalni palono światło do południa.

I zresztą nic go nie obchodziło; był nawet dobry i uczynny, ale tą dobrocią bierną automatu, bez udziału woli i świadomości.

Takim był pan Pliszka do dzisiaj.

Ale dzisiaj zaczęło się w nim dziać coś niezrozumiałego.

Obudził się tak wcześnie! A przed samem śniadaniem umyślnie podciągnął się na czwarte piętro i sparty o kratę, oddzielającą jego studnię od sali, patrzył w okno, w niebo, po którem płynęły chmury zróżowione, dziwnie podobne do rozszarpanych, czystych bel bawełny... A gdy rozległ się sygnał śniadaniowy, opuścił się na dół i wy-

siadł przez fabrykę, na słońce i bezwiednie przysunął się do robotników.

Antoś już czekał na niego z blaszanką kawy gorącej.

Pił kawę bez smaku, nie chciało mu się dzisiaj jeść, a chleb rozkruszył i rzucił bandzie wróbli, która się zwykle zlatywała do śniadających...

– Antoś idzie do klasy? — zapytał nieśmiało chłopca.

— Zaraz, odniosę tylko blaszankę i pójdę.

— To musi być ciężko Antosiowi, tak się ciągle uczyć, co?

— Ciężko! nie, nie! — odparł cicho chłopiec, zapatrzony w płat słońca, lśniącego w zbiorniku wody!

— Ale! Ale! — powiedział wątpiąco pan Pliszka.

Milczeli. Antoś patrzył na sadzawkę, bo słońce wlekło złote włosy po wodzie, po przez cienie drzew stojących dookoła, a pan Pliszka patrzył na jego żółtą, mizerną twarz i oczy zaczerwienione i na jego mizerne buty, a potem westchnął ciężko i słuchał cichych rozmów robotników, siedzących na cembrowinach sadzawek, grzejących się w słońcu.

— Wie pan Pliszka. Pojedziemy z mamą w Zielone świątki na wieś.

— Na wieś! po co? Zdziwił się ogromnie.

— Po co! Odpocząć na świeże powietrze... no...

— Cóż tam dobrego na wsi? Lepiej by Antoś siedział w domu i uczył się... butów ano szkoda.

Antoś spojrzał na niego gniewnie, zabrał blaszankę i poszedł.

Pan Pliszka zapalił fajeczkę i ciągnął zwolna dymek.

— Aha! Kupię mu buty, jak przyjedzie ze wsi... podarłby przez dwa dni... Cóż oni będą robić na wsi?... Głupi...

Wytrząsnął spiesznie fajkę, bo gwizdawka już wołała do roboty.

Nie myślał długo o tej wsi, bo znowu huczało pod nim i nad nim.

— Winda! Suszarnia!

— Winda! Apretura!

— Winda! Farbiarnia!

Jeździł znowu, woził, przystawał, zabierał, wyrzucał, ale jakoś tego nie spostrzegał, bo utkwiło mu w mózgu pytanie:

— Po co oni pojadą na wieś?

Szczerze i zupełnie tego nie rozumiał i dla tego pewnie się tak męczył.

Naraz drgnął i zwrócił uwagę na rozmowę, jaką pospiesznie prowadzili jego współlokatorzy, wiózł ich z dołu na czwarte, z wózkami pełnemi mokrego towaru.

— Jedziesz, Adam!

— Pojadę. Nie widziałem już ojców od kopania.

— To w sobotę na noc, co?

— A tak, dwa dni świąt

— Już krzyża ani rąk nie czuję od tej piekielnej roboty.

— A mnie tak jakoś w piersiach boli.

— To Zielone świątki, co?

— Juści, nie wiesz to?

— A w tej fabryce, to się już człowiekowi we łbie przewraca.

— Gdzie się wybierasz? — zapytał prędko pan Pliszka.

— Do domu, na święta.

— Daleko?

— I, nie... Koleją do Łukowa, a tam będzie z milkę piechotą.

— Łuków... Łuków... tam gdzie jest Szlachecka Wola!

— Jest to w naszej parafji, o miedzę od naszej wsi...

— To wy z której wsi!

— A z Mszawy górnej.

— A... z szosy zaraz na lewo... tak... — przypominał sobie pan Pliszka.

Wysiedli zaraz, przez dzień jeździli jeszcze po kilka razy windą, ale pan Pliszka już ich nie pytał, przypatrywał się uważnie i milczał.

— Szlachecka Wola! Moja wieś! moja!... Połknął to nagłe przypomnienie i żuł jak wędzidło, żuł i nie mógł strawić.

Uśmiechał się pogardliwie na to przypomnienie wsi rodzinnej, cóż ona go obchodziła!

(C. d. n.)

14) ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Słońce już było weszło i olśniewające światło wciskało się przez szpary stodoły, rozjaśniając mroczne wnętrze smugami mieniącego się złota. Tu promień ślizgał się po koniu i siodle wiejskiem, grubej roboty, — tam padał na białe cuhy, lub drżał na twarzach Chodów. Większość onych twarzy bladła ze wzruszenia, na niektórych malowała się nawet trwoga, ogarniająca ludzi mimowolnie przed krwawym bojem. Chociaż jednak oczy paliły się gorączką, a serca biły mocno w piersi, wszyscy bez wyjątku zaciskali w pięści ciupagi i strzelby, gotowi na śmierć.

W pobliżu wrót, Maciej, pochylony, przypatrywał się przez szpary wojsku. Zaczem wyprosto-

wał się i skinął na jeźdźców, aby dosiedli koni, potem zbliżył się do Szerłowskiego, podał mu rękę, szepnął kilka słów cichych i udał się do sąsiedniej stodoły, aby objąć dowództwo nad zgromadzonymi tam góralami. Z tej pierwszej, młody Szerłowski miał prowadzić mężnych braci w bój śmiertelny. Siedząc teraz na koniu, wzruszony i przejęty, ściskał nabitą strzelbę i słuch wytężał, oczekując umówionego hasła, które miał dać ojciec Marynki.

W stodole zapanowała na chwilę martwa cisza; koń chyba jaki parsknął, lub kopytem o klepisko uderzył. Wtem rozległo się ostre gwizdnięcie... Wrota obu stodół rozwarły się nagle, jak gdyby pod uderzeniem potwornego jakiegoś wichru, fala ślepiącego światła zalała stodołę, a w jej blaskach mignęła garstka jeźdźców z Szerłowskim na czele, a za nimi chmara pieszych górali. Z tym pierwszym hufcem białym zlał się wnet drugi, prowadzony przez Macieja Przybka, który niósł w lewej ręce rozwinięty sztandar, a prawą podnosił wysoko ciężką ciupagę dębową, po ojcach odziedziczoną.

Krótkie i długie strzelby chodzkie zagrały zgodnie, żołnierskie odpowiedziały echem przeciągłem i obie strony zwarły się ze sobą...

Straszliwe uderzenie!

Rozpacz wlewała nadludzką moc w muskularne ramiona Chodów. Bili się, jak lwy, torując sobie drogę ciupagami i kolbami strzelb. A na czele zawsze i wszędzie — Szerłowski! Pierwszy rzucił się w wir walki, a teraz miażdżył piechotę, bijąc, jak piorun, w lewo i prawo...

U płotów, pod ścianami, w otwartych na oścież stodołach, tłoczyli się gromadnie starcy, kobiety, dzieci i w niepokoju, trwodze, z napięciem wszystkich władz duszy, śledzili walkę. Cisza panowała w tych gromadkach wzruszonych, niekiedy tylko jęk wyrywał się z czyjej piersi uciśnionej, lub dłonie jakieś niewieście łamały się ruchem rozpaczy.

Stary Przybek stał, wsparty o wnuczkę, w samych wrotach stodoły i nie zwracał żadnej zgoła uwagi na przestrzegających go przed kulami, które aż tu dolatywały. Marynka, blada, drżąca, śledziła, podobnie jak wszyscy, z gorączkowem wzruszeniem, każdy ruch walczących. Widziała, jak obie strony się zwarły, widziała, że Chodowie nagłem, gwałtownem uderzeniem pozyskali przewagę nad nieprzyjacielem. Ale potem, nic już nie można było rozróżnić w kłębach kurzawy i dymu, w chaosie białych cuh, czarnych mundurów, szabel i ciupag błyszczących. Straszny hałas dolatywał jeno z pola bitwy: z wrzawą głosów ludzkich, mieszał się huk wystrzałów i granie trąb.

Maryna szukała wzrokiem nadaremnie ojca i narzeczonego.

— Maryś, widzisz naszą chorągiew? — pytał dziadek.

— Widzę — hań bieleje w słoneczku. — Ale teraz kaz się podział?... Zaś się ukazuje!... I zaś go nima. — O Najświętsza Panienko — nic już dojźreć nie mogę!... A wy, czy go widzicie? — zwróciła się z trwogą do stojących obok sąsiadek. Lecz i te nadaremnie wzrok wytężały: biały sztandar już im nie zajaśniał w słońcu...

W tem wrzask trąby ozwał się ze strony przeciwnej. Część wojska, usunąwszy barykady, wtargnęła do wioski. Wzniesione pałasze migały nad ich głowami, ziemia tętniła od kopyt końskich. Na ten widok, stary ojciec Macieja padł na kolana i jął się modlić, wznosząc ku niebu błagalne dłonie.

Wielu innych poszło za jego przykładem...

Teraz walka nie mogła już trwać długo. Kurzawa i dymy jęły opadać, kłębiące się szeregi rozdzielać. Widać było kirysjerów, pędzących w pogoni za tymi, którzy się przerznęli, uszli...

— Jacyż to są i czy nie wpadną jeszcze w ręce kirysjerów? — myślał z trwogą każdy, co miał tam swoich.

Nim słońce stanęło w całym przepychu blasków, mieli już odpowiedź na te pytania. Walka o tej porze była skończona. Wojsko zalewało wieś, po krwawem polu bitwy snuły się matki i żony, szukając mężów, synów... Szczęśliwa ta, co nie znalazła nikogo: mogła być pewna, że sokolik jej do lasów się dostał. Co chwila jednak przerzynały powietrze bolesne okrzyki, co chwila któraś znajdowała swego między rannionymi lub zabitymi. Martwe ciała leżały odosobnione, lub w kupie, wolne, albo pod koniem — jak gdzie który padł.

Stara Szerłowska, która szukała wraz z innemi, należała do szczęśliwych: nie znalazła ani męża, ani syna. Wierzyć prawie nie chciała pomyślnej swej doli. Ale tam, dalej, któż to zawodzi tak żałośnie?... Maryna! Pobiegła ku niej.

Na stratowanej murawie, gdzie się znajdowało wielu zabitych żołnierzy i kilku rannych Chodów, klęczała Marynka, płacząc i łamiąc ręce nad trupem ojca. Maciej Przybek leżał w zbryzganym krwią białym żupanie obok drzewca chorągwi chodzkiej, które przyciskał kurczowym ruchem ku sobie; w zakrzepłej prawicy miał jeszcze starą, dębową ciupagę. Olbrzymi góral leżał na wznak, wyprężony, z twarzą chmurną i złowrogą...

Tak zginął ostatni chorąży chodzki. O walecznej jego walce, o bohaterskiej obronie sztandaru, mówiły liczne trupy żołnierskie, okrywające ziemię.

Stary Przybek pochylał, klęcząc, białą głowę ku synowi. Łzy płynęły mu obfite z pod zmarszczonych powiek. Milczał, tylko jęki i bolesne westchnienia rwały mu się z piersi. Żołnierze, co odnosili rannych towarzyszy, przystawali mimowolnie przed tą grupą, nie mogąc słuchać obojętnie płaczu i narzekań złotowłosego dziewczęcia.,

— O raty — przeraty! — ojcze miłowany dobry ojcze! O Przenajświętsza Panienko! jakoż my bez ciebie żyć teraz zdolemy! Wej, dziadku

haw leży wasz syn ubity!... O raty — przeraty, ojcze, miłowany, złoty ojcze!

Ale Maciej Przybek nie słyszał płaczu i narzekania córki. I było mu z tem lepiej. Odszedł w inną, szczęśliwszą krainę, gdzie panowie nie udręczali ludu i gdzie oczy jego nie potrzebowały patrzeć, jak przemoc gwałci i niszczy złotą wolność chodzką... (C. d. n.)

Wacław Brożik.

W krótkich odstępach czasu utraciły Czechy dwóch z grona wielkich swojego narodu. Nie dawno umarł jeden z ich największych poetów, a obecnie najsławniejszy malarz. Przedmiotowo biorąc, strata poety Zeyera była większą, jako iż z jego śmiercią opuścił ziemię duch wyższy od zgasłego obecnie w Paryżu malarza Brożika, ale śmierć tego ostatniego, ze względów narodowo-utylitarnych, jest stratą większą. Brożik bowiem obrazami swymi rozniósł był i roznosił szeroko po świecie własną sławę, a z nią i swojego narodu, podczas gdy Zeyer mniej był znanym temu, co nazywamy szeroką światową publicznością. Pomijając już to, że jako poeta, który dla korzystania ze swoich dzieł wymaga większego wytężenia ze strony korzystającego, bo książkę trzeba przeczytać, podczas gdy na objęcie obrazu wystarcza stanąć tylko przed nim, Zeyer był wogóle mniej dla mas szerokich przystępnym niż Brożik.

Życiorys Brożika, jako taki, tj. szereg dat z jego życia, przedstawia nie wiele interesu. Ważnem w życiu jego, jak każdego artysty, jest to, co wrodzone zdolności duchowe zrobiły z życiowych wypadków, co z tej kombinacji powstało takiego, że przekraczając zakres samej osoby Brożika, stało się w formie dzieł jego własnością całej ludzkości.

Urodził się Brożik w roku 1851, w Hamrach koło Trzemeszny, jako syn biednego kotlarza i po odbyciu nauki w szkole ludowej, poszedł terminować u litografa, poczem przez jakiś czas pracował w fabryce porcelany. Wnet zwrócił jednak uwagę otoczenia na swój talent rysowniczy i przy pomocy przyjaciół sztuki dostał się do praskiej akademji malarskiej. Tu wnet pokazało się, w jakim kierunku pójdzie talent Brożika, a punktem wyjścia stał się dlań „Rejtan“ Matejki, który wywarł nań tak potężne wrażenie, że postanowił oddać się malarstwu historycznemu i podobnie jak Matejko dzieje Polski, przedstawiać w swoich obrazach przeszłość narodu czeskiego. Ztąd też poszła nazwa „czeski Matejko“, jaką mu często u nas i w Czechach nadają. Po za tą jednak analogją treści jego działalności artystycznej z działalnością Matejki niema między nimi wiele podobieństwa ani w kolorycie, ani w rysunku i plastyce, a już w sile wyrazu nie można ich wprost porównywać.

Brożik, jako artysta, różnym jest też od Matejki i pod względem indywidualnej siły talentu. Matejko był w tej mierze wprost nieskruszoną, może zanadto jednostronną, ale w każdym razie potęgą, podczas gdy Brożik był nadzwyczajnie wrażliwym na wpływy zewnętrzne. Zachowując tylko ogólną treść i ten sam stopień technicznej doskonałości, przechodził on bardzo łatwo od wpływu do wpływu, czy to tego lub owego mistrza swojego, czy też malarskiego kierunku. Po Matejce przyszła w działalności malarskiej Brożika kolej na Piloty'ego, a potem, na Munkaczy'ego i aliaż artystyczny tych trzech mistrzów, zindywidualizowany oczywiście nieco wedle duchowych kwalifikacyj, stanowił całego Brożika. Po za tem trzeba było nieraz, aby Brożik przypatrzył się lepiej, czy to szeregowi obrazów z jednego kierunku czy też nawet jednego artysty, a już odbijało się to na tych obrazach, które w tym czasie, lub bezpośrednio potem, zostały namalowane.

Stając się malarzem historycznym, uczynił to Brożik nie tylko pod samym wpływem Matejki, lecz poszedł pod tym względem za panującym współcześnie prądem, kiedy to każdy lepszy malarz musiał się brać do historycznych obrazów, o których przypuszczano, że najwięcej do nich potrzeba talentu i umiejętności. Ale i tu występuje wyraźnie różnica między polskim a „czeskim Matejką“. Pierwszy, przedstawiając tę czy ową chwilę dziejową, usiłował we wspaniałej kombinacji rysów charakterystycznych i psychologji momentu zawrzeć zawsze pewną ogólniejszą, historjozoficzną ideę. Brożikowi chodziło zawsze, podobnie jak Siemiradzkiemu, o kolorystyczną i linijną dekorację momentu, do czego nadawało się też lepiej i techniczne uzdolnienie Brożika. Jasny i żywy w kolorycie, lubował on się też więcej w przedstawianiu chwil pełnych spokojnego blasku, niejako momentów reprezentacyjnych, lub powabnych scen historyczno-rodzajowych z renesansu, niż w momentach przełomowej walki. Te ostatnie, mniej mu się zawsze udawały, z wyjątkiem słynnego „Husa“, który utrwalił wielkość Brożika. Ten obraz, stanowi wyjątek do pewnego stopnia: w ruchu wewnętrznym, jak zewnętrznym, umiał Brożik dość wyraźnie zaznaczyć wielką ważność tego dziejowego momentu.

Wyliczać tytuły wszystkich obrazów zgasłego malarza byłoby bezcelowem gromadzeniem słów i cudzysłowów nic nie mówiących. Do podanej powyżej charakterystyki dodać jeszcze tylko wypada, że obok doskonałości w odtwarzaniu wspomnianej dekoracyjności momentów i harmonijności barw piękne postacie kobiece były specjalnością Brożika. Pełno ich zarówno w obrazach historycznych, jak i w scenach rodzajowych, czerpanych z życia Normandji. I to też, w połączeniu z poprzedniemi zaletami, sprawiło łatwe przyjęcie się dzieł Brożika w opinji całego świata. Dzięki temu też razem ze swoją

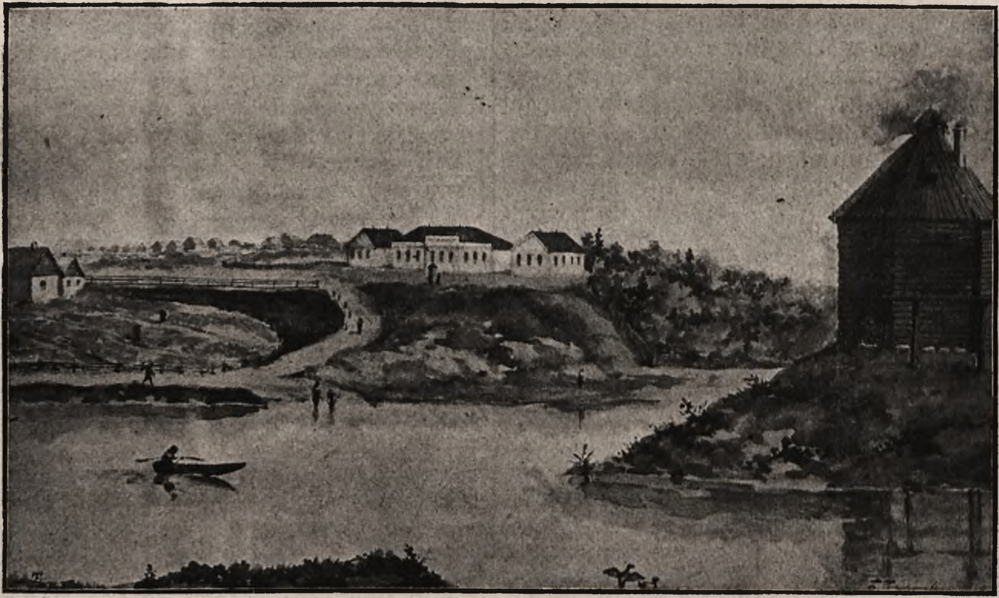
sławą rozniósł on po świecie chwałę sztuki i historji czeskiej, za co naród odwdzięczył mu się uwielbieniem powszechnem. Zagranica dała uznaniu swemu wyraz w ten sposób, że Brožik został członkiem a następnie oficerem legji honorowej, ojczyzna zaś, że został członkiem czeskiej Akademji umiejętności i od r. 1894 profesorem praskiej Akademji malarskiej. Oprócz tego, posiadał Brožik mnóstwo zagranicznych i krajowych medali i odznaczeń honorowych.

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Począwszy od Irkucka, w kierunku na dół po dolinie Angary, widzimy często występujące pokłady formacji Jurajskiej, opisanej i zbadanej przez Czekanowskiego, rzeka tworzy obszerne wyspy, brzegi jej w niektórych miejscach przedstawiają piękne skaliste urwiska, lecz cała okolica pomimo to niemiłe robi wrażenie, głównie wskutek wycięcia i zniszczenia lasów. Najpiękniejsze



Widok szpitala więziennego we wsi „Ussola", nad Angarą i widok początku wyspy, na której mieszczą się warzelnie soli.

Partje nadbrzeżne odtworzył na swych obrazach ziomek nasz, towarzysz na wygnaniu i przyjaciel malarza St. Wrońskiego — Berkman. Ja sam osobiście byłem w dolinie Angary nie dalej jak w Ussolu. Wieś ta cała, wraz z jej mieszkańcami stałymi, smutne budzi uczucia. Rozboje, złodziejstwa są tutaj na porządku dziennym, pola źle uprawne, pnie pozostałe po wyciętych lasach, jakąś niedbałość we wszystkiem, co dotyczy ładu i porządku, widać tu na każdym kroku. P. Rozmanit Antoni, który dłuższy czas przebywał w Ussolu, sądzony tam do robót ciężkich, dał mi kilka widoków, przedstawiających różne części dużej wsi ussolskiej. Widoki rzeczone, rysowane są z natury przez jednego z więźniów, ziomka naszego, uwydatniają one cechy właściwe wioskom „katorżnym". Wybieram z nich jeden, mianowicie widok szpitala więziennego, gdzie czynnymi byli nasi lekarze zesłani i gdzie bić przestało nie jedno serce szlachetne zdala od rodziny i ojczyzny.

„Ussolski solewarnyj zawod", czyli warzelnie soli kuchennej w Ussolu, służyły do roku 1863 za miejsce kazni dla zbrodniarzy, zesłanych z Rossji europejskiej; od tej daty jednak, władze miejscowe nie znajdując pomieszczenia dla licznych skazanych do kopalń więźniów politycznych, część ich internowały tutaj. Z początku pomieszczani byli ludzie różnych kategorji, sądzeni do robót ciężkich, później wysyłano przeważnie takich, którzy przybywali na Syberję z rodzinami. Ilość, internowanych w Ussolu ziomków naszych, dosięgła po sprawie Bajkalskiej cyfry trzystukilkudziesięciu.

Poniżej przedstawiam spis, aczkolwiek niekompletny, przyczem dodaję krótkie wiadomości o osobach mi znanych, lub znanych w szerszych kołach wygnańczych na Syberji.

Bartoszewicz z rodziną.

Bniński hr. z rodziną. Z Bnińskim i jego żoną, z domu Sobańską odbywaliśmy wspólnie podróż z Tomska do Irkucka. Znosili oni mężnie trudy i nieprzyjemności podróży przymusowej, przyczem świadczyli dużo dobrego ziomkom biednym, nie mogącym się utrzymać z tych kilku kopiejek, dawanych jako strawne (karmawyje) przez władze. W późniejszym czasie, gdy Bnińscy mieszkali w Irkucku, dom ich był ogniskiem myśli i uczuć narodowych. Mówiąc o naszej arystokracii na wygnaniu, zaznaczyć można, że Syberja była dla nich dobrą szkołą, pozbyli się bowiem bardzo prędko przesądów kastowych i dziecinnych nawyknień sybarytów, tutaj poznali oni, że pieniądze nie stanowią głównej wartości człowieka.

Bogurski ze Słuckiego. Jako uczeń gimnazjum słuckiego, brał Bogurski czynny udział w potyczkach oddziału powstańczego powiatu słuckiego. Dopiero ranny i wycieńczony głodem, ostatni z walczących, poddał się najazdowi. Był to poeta, marzyciel, entuzjasta. Poznałem go w Ussolu, gdym odwiedzał, będąc już na osiedleniu, krewnych, mieszkających podówczas w fabryce Tulminskiej i w Ussolu. Pracował Bogurski ciężko na utrzymanie, lecz pocieszał się przy pracy marzeniami o kraju, malując go w swojej wyobraźni barwami najidealniejszemi. Z chwilą, gdy uzyskał pozwolenie na powrót, rzucił wszystko, czego się pracą dorobił i puścił się pieszo w drogę. Szedł, zarabiając jako najemnik u włościan. Małe były zarobki, więc długa droga, a jednak wędrując w ten sposób dotarł do Nowgorodu nad Wołgą. Myśląc, że rodacy tam zamieszkali nie dadzą mu zginąć z głodu, kołatał dni kilka z rzędu, prosząc o pracę i przytułek, ale nadaremnie. Zrozpaczony najął się następnie za tragarza przy ładowaniu bark, ażeby zarobić sobie tyle, by mu wystarczyło na kupno papieru listowego, koperty i marki pocztowej. Zdobywszy sobie materjał piśmienny, napisał list pożegnalny do znajomych w Irkucku. List ten czytałem, maluje w nim straszne swoje katusze moralne, a prosząc o przebaczenie za postępek, jak go nazywa „małoduszny“, bo postanowił szukać śmierci w nurtach Wołgi, kończy takim wykrzyknikiem, boleści pełnym: „Czemu“ — powiada — „kula moskiewska mnie ominęła, czemu topór zbójcy w drodze tak dalekiej mnie oszczędził, byłbym przynajmniej umarł spokojny, a względnie szczęśliwy, dziś, niestety, konam w mękach zwątpienia i rozpaczy“. Zwłoki nieszczęśliwego topielca, bez obuwia, w łachmany odzianego, wyciągnięto z Wołgi, przy nim paszport, wydany w Irkucku, świadczył o tożsamości osoby jego. Miał on w dodatku powrozem skrępowane nogi, uczynił to widocznie z obawy, ażeby wobec trwogi bezwiednej, przedśmiertnej, nie szukał i nie znalazł ocalenia w pływaniu, pływał bowiem doskonale i wytrwale. (C. d. n.)

Z pism i książek.

Wydawnictwa zeszytowe.

Po dłuższej trochę przerwie ukazał się zeszyt 9 *Słownika języka polskiego*, ułożonego pod redakcją Jana Karłowicza, Adama Ant. Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego (wyrazy: *Kiecka-Korowód*). Jest to już trzeci zeszyt tomu drugiego. Sześć pierwszych zeszytów składa się na tom I. tego *Słownika* (A. — G, Warszawa, 1900; str. 955) poświęconego *Almae Matri Cracoviensi.*

Jest to dzieło wielkiej wartości nie tylko naukowej lecz i praktycznej. Znaleść się ono winno w każdym domu polskim, w rękach każdego, komu drogim jest ów język polski, dziś tak kaleczony przez obce wpływy. Pomimo pożyteczności dzieła tego, liczy ono jednak stosunkowo mało prenumeratorów; a nakład to kosztowny (druk i papier), nie bacząc na to, iż *Słownik* ten jest rezultatem bezinteresownej pracy...

Świeżo opuścił też prasy drukarskie 1 zeszyt II. tomu bardzo pożytecznego wydawnictwa p. t. *Encyklopedja staropolska ilustrowana* w opracowaniu p. Zygmunta Glogiera. Jest to dzieło, które w szeregu artykułów alfabetycznie ułożonych, obejmuje „cały obszar dawnej kultury życia publicznego, obozowego i domowego przodków naszych“, napisane popularnie na podstawie najnowszych badań i poszukiwań.

Tom pierwszy (Warszawa, 1900, str, 316) zawiera artykuły od *Aaron* do *Denar*, ilustrowane wieloma rycinami, fotografjami, podobiznami afiszów, starych ksiąg, pieczęci i t. p. Ostatni zeszyt zawiera: *Departamenta* do *Drużyna.* Niektóre artykuły są bardzo obszerne. Ponieważ inne tego rodzaju wydawnictwa w handlu księgarskim są wyczerpane, praca zatem p. Z. Glogiera wypełnia tę lukę, dotkliwie czuć się dającą i jest zjawiskiem bardzo pożądanem, na czasie, i ze wszech miar godnem poparcia.

Przyjaciel czeski Polaków, profesor Fr. A. Hora, pracujący już od lat wielu na niwie zbliżenia polsko-czeskiego, który w roku 1890 wydał w Pradze *Słownik polsko-czeski*, od roku zeszłego (1900), dzięki zapomodze, udzielonej mu przez czeską akademję nauk, wydaje zeszytami *Słownik czesko-polski*, a więc przeznaczony do użytku Polaków, którym ma ułatwić uczenie się języka czeskiego i czytania dzieł w języku tym pisanych. Prof. Hora wydał również *Praktyczną gramatykę polską z czytanką* (dla Czechów; 1900). Jego to staraniem uczcili Czesi wieczorem uroczystym w Pilznie w grudniu r. 1899, zasłużonego na niwie zbliżenia czesko-polskiego niedawno zmarłego (23. grudnia 1900) Bronisława Grabowskiego.

Ostatni zeszyt *Słownika* (11) zawiera wyrazy: *opatrne — plenny* (str. 481—528); więc niedaleko już jest do końca całego dzieła, które — nie wątpimy — będzie tem, czem chciał, aby było, sam prof. Hora, a mianowicie: „pożytecznym kamykiem w moście, łączącym oba narody pobratymcze“... *H. U.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.